

Katarzyna Kuczyńska-Koschany
rozmawia zdalnie z Janem Gondowiczem

Na szufelce

Janku, czy pamiętasz pierwszą przeczytaną samodzielnie książkę? Jak wyglądała – czy pamiętasz okładkę, fakturę, rodzaj papieru? Wyznajesz w jednym ze szkiców, że nauczyłeś się czytać w wieku lat czterech (*Duch opowieści*, s. 251). Czy pamiętasz też tę czytana głośno przez kogoś Tobie jeszcze nieznanemu i niełączącemu liter w pierwszych trzech latach życia?

Dom był pełen książek. W paru językach. W domu było wszystko, od *Pańszatantry* po *Medycynę sądową*. Masa rzeczy niemieckich, gotykiem, w tym wielotomowy Brehm w edycji 1900 z tysiącami portretów zwierząt (druk trójbarwny), które dziś oceniam jako surrealistyczne. Miały na mnie wielki wpływ. Zwłaszcza niebywałe *Niedere Tiere* z grawiurami Haeckla i tom o rybach. Na ilustracji widnieje tam top masztu tonącego żaglowca, takielunku trzyma się paru marynarzy, ten u góry macha chustką w stronę jakże, niestety, odległego innego statku, a temu

na dole obwącjuje już piętę pod wodą wielki żarłacz ludojad (*Carcharodon carcharias*) – słowem dreszczowiec pozostawiający niewielki margines optymizmu. W tym momencie uświadamiam sobie, że zwrot o obwączywaniu pięty pochodzi z książki Hugh'a Loftinga *Doktor Dolittle i jego zwierzęta*, z epizodu, w którym tonie zdobyty przez piratów Barbarii stary statek Doktora. I obwączywany herszt piratów może liczyć już tylko na to, że Doktor, znający mowę zwierząt, zaapeluje do żarłacza o cierpliwość.

Z innych książek przyrodniczych wspomnę *Der junge Naturforscher*, przewodnik terenowy flory i fauny Europy Środkowej przeznaczony dla Hitlerjugend. Do dziś nie ma takiej książki po polsku. A czy ktoś pamięta dzieło *Zajmująca geochemia* (1950) akademika Fersmana? Byłem wściekły, że obejmuje tylko tereny Rosji. Książka miała dziwny klimat, dopiero wspominając ją po paru dekadach, zorientowałem się, że to zaszyfrowane poglądy mistyka geologii Władimira

Wiernadskiego. No, ale o tym to już nikt w Polsce nie słyszał. Przecież u nas jest zadupie Wszechświata.

Wciąż chodzę tropami moich dziecięcych lektur – tych z domu i tych z niesamowitego księgozbioru Teatru na Tarczyńskiej. Zostawiano mnie tam, w latach przedszkolnych, na całe tygodnie. A do domu dostawałem na przykład książkę o legendach geograficznych średniowiecza (Bolesław Olszewicz, 1927); oddawałem, pan Ludwik dawał mi *Golema Meyrinka*; oddawałem, Lech Stefański wtykał mi *Z życia owadów* Fabre'a, jak to modliszka zjada w trakcie samca; oddawałem, Miron znajdował dla mnie Ochorowicza *Wiedzę tajemną w Egipcie* (1898), jak to wyciąga się mumiom mózg haczykiem przez nos; oddawałem, dostawałem książkę Bölschego o smokach (*Drachen. Sage und Naturwissenschaft*, 1929). I tak dalej. Eksperymentowali na mnie. Skutek był taki, że nie miałem o czym z rówieśnikami gadać.

Ojciec zbierał książki historyczne, matka przyrodnicze. Myślę, że oboje złożyli się na bogato ilustrowaną przedwojenną *Encyklopedię* Gutenberga. Prawie cały jeden tom (*Polska-Robe*) poświęcony był państwu, które przestało istnieć. A więc tak: z jednej strony profesor Jan Dembowski, opisujący, jak Nadieżda Ładygina-Kots wychowywała swoje dziecko z szympansem (równie ciekawa była jego monografia pantofelka *Paramecium caudatum E.*), z drugiej – Korzon, Tokarz, Górka, *Encyklopedia staropolska* Brücknera,

a zwłaszcza czterotomowa jerozolimska edycja pasjonującego podręcznika gimnazjalnego *Mówią wieki* Balickiego i Maykowskiego, gdzie ostatni tom uwzględniał już armię Andersa i Katyń. Uczyłem się trzech alfabetów naraz, bo nie mogłem wytrzymać, żeby się nie dowiedzieć, o czym mówią obrazki. Literatury w sensie ścisłym było poza poezją niewiele, ale tak się złożyło, że pierwszy przeczytany podpis pochodził z książki Janusza Meissnera *Wraki* (chyba 1952) – najlepszej, jak sądzę, polskiej powieści socrealistycznej. Ilustrowały ją drzeworyty Mariana Walentynowicza, tego od *Koziolka Matolka*, niewiarygodnie wręcz ponure – na pierwszym obrazku rysowała się rufa statku na tle burzliwego nieba, ze zdaniem z tekstu. No i to zdanie przeczytałem, tylko go już nie pamiętam. Rodziców nie interesowało, co przeglądam i czytam, byle dziecko cicho siedziało. W swojej naiwności kupowali mi książeczki. Pierwsza, którą przeczytałem, nazywała się *Wesołe trzy po trzy dla naszych najmłodszych* (1952). Na pierwszej stronie z samolotu wysypywały się robaki w cylindrach w paski, a tekst głosił: „Przyleciały szkodniki. / Z daleka – aż z Ameryki”. Była to oczywiście stonka. Autora, Czecha nazwiskiem Zdeněk Zaoral, spotkałem po latach jako recenzent filmowy – normalizował kinematografię czeską i ukatrupił parę ważnych projektów. Stonka po czesku zwie się *mandelinka bramborova* – cudnie, prawda? Szkoda, że wtedy tego nie wiedziałem.

Pierwsza książka, którą przeczytałem naprawdę, to znaczy tak, żeby świadomie wyczytać ją do dna i zapamiętać na całe życie, to *Atlantyda* (1963) Ludwika Zajdlera, traktat z mitologii porównawczej i astronomii zarazem. Wrażenie kolosalne. Niezglobiona studnia wiedzy, a przy tym mistrzowski montaż – no, nie faktów przecież, tylko zmyśleń i legend. Ach, umieć tak to robić!

Z jakimi analfabetyzmami mamy do czynienia dzisiaj w Polsce? W tle tego pytania czai się wiersz Tomasza Różyckiego *Kryzys czytelnictwa polskiego* z tomu *Litery* (2016).

Wiersz nielichy, imitacja Herberta. Wieczór autorski ostatniego czytelnika, na sali sami pisarze. Ten ostatni, udreńczony czytelnik to ostatnie wcielenie Pana Cogito. Który, jak pamiętamy, też preferował już pisma ilustrowane dla pań. Fakt, tłumy piszą, mało kto czyta. Ale ja na analfabetyzmie się nie znam, brak materiału porównawczego. Nie znam się nawet na czytelnikach, bo wszyscy raczej czytają co innego niż ja. Co poniekąd wyjaśnia, czemu nigdzie nie zagrzałem miejsca. I tu mi się przypomina, jak przed laty przyjaciel ubiegający się o asystenturę na polonistycę warszawskiej usłyszał: „Albo pan czyta to, co my, albo dziękujemy!”. Były to bowiem czasy strukturalizmu, a on z tradycji rodzinnej zgłębiał katolicki personalizm. Wybrnął z tego mistrzowsko, poszedł w staropolszczyznę, która się metodologicznie nie

liczy. Dziś *profesor emeritus*, o co szło od początku.

Ale czas odpowiedzieć na pytanie. „Z jakimi analfabetyzmami mamy dziś do czynienia w Polsce?” – ze wszystkimi.

Czy mógłbyś wysnuć opowieść o roli teatru w Twoim życiu?

Dobrze, będzie opowieść. Moja matka zatrudniła się jako taperka w warszawskim teatrze dla dzieci Guliwer. W 1950 roku na dyrektora powołany został jedyny partyjny – stolarz. Zaądał ankiet personalnych, gdzie była rubryka „majątek ruchomy”. Mama, niezdolna kłamać, wpisała, że ma steinwaya. I jako burżujka z miejsca wyleciała. Przygarnął ją tak zwany Teatr Ziemi Mazowieckiej. Ale był to teatr objazdowy, bez siedziby, wystawiający w terenie, w remizach i świetlicach. Gdzie robić próby? Tam, gdzie jest fortepian, z natury mało mobilny. A więc spod tego fortepianu śledziłem parę lat różne składanki hop-siup i agitacje przeciw kulakom. Po czym na kłapie stawiano wino jabłkowe, mama zmieniała repertuar i tańczono walca *Domino*. Wszyscy byli jeszcze młodzi.

Suflerka tego teatru, tak zwana przyszywana ciotka, trafiła do Ate-neum. Stąd darmowe wejściówki i przemycanie malucha, czyli mnie. A że siatka wymiany wejściówek ogarniała wszystkie teatry, widziałem ze sto spektakli zaliczających się do najwyższych osiągnięć epoki. Widziałem *Romulusa Wielkiego* Dürrenmatta i *Kariere Artura Ui* Brechta, byłem

na *Matce* Witkacego i *Królu Ubu* w Stodole, aż po *Śmierć komiwojażera* Millera i *Dantona* Przybyszewskiej. Widziałem premierę *Dziadów* Dejmka. Wcisnąłem się nawet na *Apocalypsis cum figuris* Grotowskiego, zwane w Warszawie „Apopleksją z figurami”. Mam w głowie kreacje aktorskie od Kazimierza Opalińskiego, przez Tadeusza Fijewskiego, po Jana Świderskiego i Gustawa Holoubka. A gdy przyszła pora, zacząłem pisywać o dramatach. I robię to do dziś, tylko mało kto wie, bo teksty pozostają w programach teatralnych.

A, jeszcze jedno. Antek Pawlak, poeta, kierował dwadzieścia lat temu gdańskim miesięcznikiem literackim pod osobliwym tytułem „Przejaśnienia, Migotania”. Przesłał mi ankietę: „Co będziemy czytać za ćwierć wieku?”. Bardzo kwaśno przyjął moją odpowiedź: „Będziemy czytać wydane w samizdacie *Piekło kobiet* Boya i słuchać radia Wolna Eurazja”.

Twój szkic *Powrót wielkich ptaków* z książki o Schulzu zamykają słowa: „Każdy, kto stwarza, stwarza na własne podobieństwo” – czy mógłbyś odnieść te słowa do samego siebie?

Podchwytliwe pytańko. Na szczęście mnie nie dotyczy. Kto stwarza, sprowadza na świat coś, czego jeszcze nie było. W tym sensie nic nie tworzę, tylko kojarzę ze sobą postacie prawdziwe i fikcyjne, motywy, rekwizyty, sensory. Roi mi się na przykład, że autor opowieści o eksploatacji kości słoniowej w Wolnym Państwie Kongo mógł może czasem pomyśleć, że dokładnie to

samo odbywa się nad Leną czy Obem, tylko z udziałem polskich zesłańców, eksterminowanych Ewenków i nieboszczyków mamutów. Wskazuje na to ówczesny obrót towarem, jakim jest kość słoniowa. I to samo, co w *Placówce postępu*, mogło się jak najbardziej zdarzać na Syberii. I zdarzało się na pewno. Jak widać, nic się tu nie stwarza, tylko szerzej rozchyła zasłony.

Albo kiedy w sztuce o pandemii, pisanej sto lat temu, odczytuję za Canettim, że „kto przeżył epidemię, gromadzi w sobie energię życiową wszystkich jej ofiar; kto posłał na pole bitwy armię, akumuluje męstwo poległych. Im większa martwa masa, tym bardziej się żyje, nieprawdaż? Stąd strategia emocjonalna samowładnego wodza kulminuje w delektowaniu się nieżywą masą. A nawet więcej: dyktator pławi się w wyobrażeniu, iż wszyscy podlegli jego rozkazom winni być trupio bezwolni (*Kadavergehorsam*), on jeden jest wśród nich żywy. Skąd wniossek, że im pełniej wszystko wokół wymrze, tym wódz pewniej władą przeznaczeniem, zarządza wojną totalną jak los epidemią”. Tak właśnie poczyna sobie marszałek z *Białej zarazy* Čapka: musi wygrać wojnę, zanim umrze. „Między władzą a życiem nawiązuje się ten sam frenetyczny stosunek, co między masą a śmiercią. Masa nigdy nie jest dość martwa, władza nigdy nie jest dość żywa”. Musiałem przytoczyć, bo przecież nikt tego nie czyta.

A życie czasem, nawet dosyć często, dodaje kontekst, aż idą ciarki. Może właśnie zastawiam na ten kontekst

pułapki. Samotrzaski. Trzask – i upolowałem rzeczywistość. I już, skoro to takie ważne, mechanizm tych pułapek ma coś w sobie z mojego myślenia.

Cytujesz Sherlocka Holmesa, gdy mówis o swym bracie Mycroftcie, założycielu Klubu Diogenes: „Woli raczej, aby myślano, że się pomylił, niż gdyby miał się trudzić nad wykazaniem słuszności swych poglądów”, i dodajesz: „Oto pochwała bezinteresowności, a zarazem dewiza prawdziwego eseisty” oraz: „eseista [...] dociera niekiedy do celu tylko wówczas, gdy uświadomi sobie, że drogi nie zna. A nawet nie zna celu” (*Czekając na Golema*, s. 9). Kiedy pierwszy raz (śmiało) pomyślałeś o sobie: „eseista”? Czy jednak najpierw ktoś inny tak o tobie powiedział? A może raczej sam o sobie myślisz: „felietonista” albo „gawędziarz”?

Kwestia taka, że musiałem odbyć wyprawę w głąb pamięci. Otóż pisywałem, jak prawie każdy, różne rzeczy, w tym ze dwieście recenzji filmowych, o których sam nie pamiętam, aż tu pewnego razu napisało mi się coś innego. Był rok 1981, dostałem do opisanja listy Tadeusza Bobrowskiego, zajrzałem więc do jego *Pamiętnika mojego życia* – i wtem styl pedagogiki wuja Conrada skojarzył mi się z fabułą książki, której chyba nawet nie wypada znać. No, ale cóż: Zakopane, deszcz, półki pełne książek sprzed stulecia. I tak za młodu przeczytałem *Strasznego dziadunia* (1887) Rodziewiczówny. Ten dziadunio, jak Bobrowski mruk

i odludek, postrach sąsiadów, wychowywał wnuka na odległość, całkiem jak Bobrowski swojego Konradka. Aż do skutku. I naszła mnie myśl, że musiał to być pewien kresowy obyczaj, i tym sposobem sławetna etyka conradowska ukazała podszewkę w postaci tak zwanych cnót podolskich. Jak je zwał Bolo Miciński. Niedługo potem nabyłem w antykwariacie książkę Bunina *Sprawa korneta Jelagina* (1927), pierwsze literackie podejście do romansu warszawskiej aktorki Marii Wisnowskiej z podporucznikiem Barteniewem. Sławny skandal z roku 1890. Ale rzecz w tym, iż książka okazała się klockiem z kilku opowiadań i zawierała na końcu satyryczną nowelkę Aleksandra Kuprina *Mechaniczny wymiar sprawiedliwości*. Ewidentną zapowiedź *Kolonii karnej* Kafki. Żeby to uzasadnić, trzeba się było nieźle wkręcić w rosyjskie lektury Kafki. I porównać robotę faceta z talentem z robotą geniusza. Kiedy to wreszcie spisałem i poszło w numerze kafkowskim „Literatury na Świecie” (1987), zacząłem się zastanawiać, co ja właściwie robię. Komparatystyka to nie jest, krytyka także, reportaż historyczny też nie – więc wyszło, że nie ma innego słowa jak esej. Ale te moje eseje są dość niepodobne do esejów natchnionych eseistów, bo oni piszą je jako eseje. Poprawia taki muszkę, odkręca pióro Mont Blanc i wali esej, że iskry lecą. Nie chodzi tylko o fakt, że to pisanie dla snobów. Co do tego, „Zeszyty Literackie” popsuly esejowi opinię na pół wieku. Ale zobacz eseje Miłosza. To są traktaty. Bo on nigdy nie przestał

być uczniem. Nawet jak sam został belfrem. A u mnie się zawsze zaczyna od dołu, od zadry, od jakiejś sterczącej nitki, i obraz końcowy też przypomina rozwinięty kłębek. Chociaż, oczywiście, dla mnie jest całkiem logiczny.

No, powiem inaczej. Rzeźbiarz, jak mawiał Norwid, powinien kuć w marmurze. Aż odkuje wszystko, co niepotrzebne, i uwolni kształt uwieczony w środku. *Kamień i cierpienie*, nie? Ale mało kto tak robi. Oblepia się rusztowanie gliną, modeluje z grubszą, a potem doskonalą kształty przy pomocy malutkich kuleczek z gliny, kręconych w dłoni i przyklepanych to tu, to tam. Aż wyjdzie bryła jak trza. Rzeźbiarze zwą to „metodą srającej muchy”. Ja też tak działałem. Oczywiście pierwszej wypada mieć pojęcie, czego się chce.

Kawaler (ale też Don Juan) to – jak powiadają – nie stan cywilny, lecz charakter. Czy eseista to – per analogiam – nie profesja, lecz osobowość? Pytam dlatego, że najczęściej mówi się o Tobie „erudyta”; ale przecież erudycja jest kolekcjonersko-sta-tyczna, a eseistyka (zwłaszcza Twoja!) dynamiczno-brawurowa.

Ładnie. Jeszcze, jeszcze.

A na serio – erudycja to było narzędzie pracy w czasach przedkomputerowych. Kwalifikacja zawodowa. Cytaty w paru językach, w tym martwych, daty, pisownia nazwisk, dyżurne anegdoty o sławnych postaciach – wszystko to porządny redaktor miał w głowie, zanim się stał takowym. Profesor

humanista także. Choć ten miał swoje fizyki, wysiedziane w tysiącach bibliotecznych godzin. Dopiero potem zaczynały się foliały i katalogi, które tak służą Sherlockowi Holmesowi. I piramida cyklopedii. W dawnej czytelni Instytutu Słowianoznawstwa PAN na szóstym piętrze Pałacu Kultury i Nauki zbiór podręczny zawierał wszystko z wyjątkiem samego myślenia. Jak encyklopedie, to wszystkie i we wszystkich wydaniach. Meyer – jedna szafa. Brockhaus – druga. Larousse – trzecia. Britannica – czwarta. Można było brać do ręki kolejne edycje *Liternaturnoj Enciklopedii* i śledzić, jak falowała opinia na temat choćby Babla. Wszystko to spoczywa teraz w podziemiach biblioteki slawistycznej na UW, w byłej zwierzętarni, i jeśli by chciało się sprawdzić coś w którymś z tomów *Le Grand Larousse du XIXe siècle*, trzeba by posłać bibliotekarkę, starszą panią, do magazynu, a każdy tom waży sześć kilo, a jeśli to będzie nie ten? Już kiedyś było mi lyso, kiedy Biblioteka Narodowa posyłała kierowcę z moim rewersem do Grójca, bo tam mają magazyny. Erudyta się jest, jak długo za plecami stoi mur książek. Nie ma książek, to zostaje tylko to, co się belta w internecie. Słowem – nieźle się zapowiadałem, ale po urzekających początkach przyszła dobra zmiana i ze wstrętem wyniosła takich jak ja, niby służąca z *Przemiany* Kafki, na szufelce na śmietnik.

Kiedy już sami wiedzieliśmy, że mojemu siedmioletniemu wówczas synowi, Tobiaszowi, ma się urodzić siostra, Lena, poinformowaliśmy

go, że – na 90% – to ONA. On zaś odrzekł rezolutnie: „Trzymajmy się tych 10%”. Podobną deklarację znalazłam u Ciebie w szkicu *Dziesięć procent* (*Czekając na Golema*, s. 13): „Dziewięćdziesiąt procent tego, co o pisaniu i czytaniu wiadomo, zawdzięczamy naukom o literaturze. Mnie interesuje pozostałe dziesięć procent”. Syn musiał się pogodzić z narodzinami siostry, co nie było łatwe. W literaturze jest chyba inaczej... Czym jest literatura?

No jakże! To właśnie te niedostępne dla szkiełka i oka dziesięć procent istoty rzeczy, to, co ginie w tłumaczeniu, co nie daje się przekazać komuś, kto sam nie poczuł emocji nad kartką. Inaczej mówiąc, literatura daje porozumienie podprogowe piszących z czytającymi i czytających między sobą, o które daremnie walą łbami teoretycy. Czy raczej walili, bo teoria literatury już zgasła, zastąpiona przez kulturową teorię literatury, która jest niczym innym jak tą lub ową dyżurną ideologią. I tak nie dowiedzieliśmy się od nauki, czym jest literatura, za to lepiej niż kiedykolwiek widać, czym nie jest.

Twoje tytuły to parafrazy: *Boyem a prawdą* – na przykład, *Paradoks o autorze czy Czekając na Golema*. Parafrazy doskonałe, jak *Trans-Autentyk*, gdzie w tytule dajesz nam Gombrowicza i Schulza razem wziętych, a w podtytule jeszcze Witkacego: *Nie-czyste formy Brunona Schulza* (czyli całą trójcę „poetyckiego modelu prozy”). Wielka zabawa.

Czasem nawet w przypisie: „My, komety, wiemy już, że jesteś śmiertelne” (*Trans-Autentyk*, s. 193, przyp. 29) – gdzie parafrazujesz Paula Valéry’ego i jego popierwszowojenne *dictum* o cywilizacjach. Takich wariacji jest bardzo wiele. Jak myślisz, ilu czytelników bawi się razem z Tobą, ilu WIE? (Przepraszam za pytanie z rodzaju dydaktyczno-społecznych).

W języku technologii rzekłoby się, że jestem niekompatybilny. Ale czy warto rezygnować z pomysłów? Przecież pomysły to najcenniejsze, co mamy w życiu intelektualnym. Większość ludzi, także uczonych, przeżywa życie bez jednego własnego pomysłu i ani się domyśla, że im czegoś brak. Słowa, jak wiadomo, służą też do zabawy, ale żeby się mogły bawić, trzeba im zdjąć smycz. Wtedy potrafią dać susa. I przynieść coś w pysku. Co już nie jest żartem. Powiedzmy, że zapraszam czytelników do zabawy w myślenie skrótem, dwuznacznością, metonimią: tak rozumiem owo myślenie ukośne bądź diagonalne, które sławił Roger Caillois.

„Znam sto tysięcy słów” – deklarujesz w rozmowie z Zofią Zaleską, pomieszczonej w tomie *Przejęzyczenie*. Może kondycja tłumacza to jednak największa zabawa? Czy tylko z powodu feerii i orgii leksykalnych we własnej wyobraźni?

Większość rzeczy w życiu robiłem na próbę. W tak zwanej sztuce przekładu też jestem dyletantem. I leniem.

Za nic bym nie tłumaczył, jak mój przyjaciel Ryszard Engelking, dzieła tych rozmiarów co świeżo wydany *Pan Mikolaj, czyli serce ludzkie odsłonię* Rétifa de la Bretonne'a, 630 gęstych stron jak obszył, a to tylko wybór. W stanie wojennym były straszne nudy, pisywało się ledwie miniaturowe notki do jakichś biuletynów, więc spróbowałem tłumaczeń. Z moich rzeczy tamtego czasu godny uwagi jest tylko *Słownik komunalów* Flauberta. Ale wyszedł wyłącznie dlatego, że wydawca, Robert Tekieli, późniejszy tropiciel szatana, wbił sobie w głowę, albo mu wbili, że Flaubert to konserwatysta i retrograd. Więc się nadaje. Lubię się bawić w przekład, ale tylko tekstów dziwnych, które z kolei nie podobają się nikomu poza mną, między innymi z tej prostej przyczyny, że ich nikt nie zna. I poznać nie chce. „Nie będzie mi pan tłumaczył, na co mam wydać moje własne, ciężko zarobione pieniądze” – usłyszałem kiedyś od wydawczyni. Tyle w temacie tłumaczenia.

Wynotowuję pierwsze zdanie ze szkicu *Stalker*: „Najsławniejsza opowieść o mobbingu to, rzecz jasna, *Kopciuszek*” (*Czekając na Golema*, s. 63). Czy mógłbyś podobnie nieodkryte, jednozdaniowe aksjomaty zaproponować wobec innych znanych baśni?

Eksponując w przekładzie (niegranym) *Mieszczanina szlachcicem* Moliera nieprzyzwoity, acz zasugerowany w tekście szczegół, co zrobiono panu

Jourdain, że mógł przyjąć islam, argumentowałem, że ludzie są zawsze tacy sami i bawilo ich trzysta lat temu to samo, co nas dzisiaj. Aż strach pomyśleć to serio. Tysiąc i dwa, i trzy tysiące lat temu ludzie byli tacy sami i byli wśród nich Sartre'owie i Rilke'owie, Czarnkowie i Kaczyńscy, Kuby Rozpruwacze i Putinowie. Szekspir to wiedział. Innymi słowy, baśń o Sinobrodym wskazuje, że kiedyś przed wiekami w Galii żył sobie Roman Polański.

Jedyną książkę monograficzną poświęciłeś Brunonowi Schulzowi. Dlaczego właśnie jemu? Czy to, co Zofia Nałkowska nazywa „zniekształconym jasnowidzeniem” (*Trans-Autentyk*, s. 175), a co chyba trafnie opisuje całe dzieło nauczyciela rysunków z Drohobycza, jest Twoim olśnieniem czytelniczym jedynym w swoim rodzaju? Pozakategorialnym?

E, żeby tam zaraz pozakategorialnym. Wspomniałaś już trójcę „poetyckiego modelu prozy”. Przyjrzyjmy się. Witkacy, który tak chciał być niezwykły, że się w tej niezwykłości zaplątał i znudził sam sobą. Miał najwyższy możliwy ideał artysty. Ale kto jest dlań najwspanialszym z ludzi? Kim chciałby być naprawdę? Otóż oficerem carskiej lejbgwardii z jego wyniosłością, ruską duszą i trzymaną na wodzy dekadencją. Teraz Gombrowicz. Tak samostny i odstrychnięty, że wyszła mu teoria, iż od innych nie ma ucieczki. A kim jest w marzeniach? Za kogo chciałby uchodzić? Otóż za ziemianina

z Sandomierskiego, co jesienią strzela kaczki, a zimą na Riwierze szczypie w tyłki subretki. I na koniec Bruno Schulz. Ten nikogo nie udaje, za wzór ma Tomasza Manna, snuje marzenia i fantasmagorie. To człowiek książki. To nasz człowiek. Z nim jednym można by się szczerze zaprzyjaźnić.

Schulz – jak o nim piszesz – jest „konsekwentnym poszukiwaczem epifanii” (*Trans-Autentyk*, s. 38), a jego narrator „żyje wciąż w pogotowiu ekstatycznym” (s. 39). Dlaczego ktoś taki jak Kazimierz Wyka pomylił się w swej pierwszej diagnozie autora *Sklepow cynamonowych*, a Zofia Nałkowska od razu rozpoznała „największe objawienie w literaturze polskiej w naszym wieku”?

A miałaś w ręku *Węże i róże* Nałkowskiej? Ona pisze Brunonem Schulzem! „Światło poziome i szklane, niechętnie fenomenowi zaszłej tutaj pseudomorfozy”. I tak dalej. Nałkowska i Witkacy byli ludźmi epoki pośredniej. Wiedzieli, jak pracuje w prozie symbolizm i jak działa nowoczesność. Stąd poznali się na Schulzu od razu. A Wyka był doktrynerem, wymyślił sobie, że w czasach heroicznych, jak pojmował lata 30., trzeba pisać męską prozę – podejrzewam, iż za wzór wziął Malraux. Falszywą romantykę *Zdobywców* i *Drogi królewskiej*. Faktycznie, to antyteza Schulza.

Jako osobie, która świadomie i zdecydowanie nie lubi Gombrowicza, co byś powiedział? Poważam, doceniam,

uznają jego cezurę i niecenzuralność oraz inne zalety wszelkie. Nie lubię. Ty zapewne wiesz dlaczego.

Są pisarze jak dęby, są pisarze niczym ten cyprys cementarny, są pisarze bluszczowaci i pisarze jak ogłowione wierzyby. Gombrowicz to kaktus. Chce uchodzić za drzewo, a korzonki krótkie. Cztery powieści, trzy sztuki, siedem opowiadań. Ale spróbuj tylko przejść obok i się nie pokłuć.

Czy następna książka będzie książką o Witkacym? Jak bardzo czujesz się osobą pokrewną Witkacemu?

Za dobrze go znam, żeby czuć pokrewieństwo. W zeszłym roku zaproponowano mi napisanie biografii Witkacego. Odmówiłem. Musiałbym wyciągnąć, czego w nim nie lubię. Żeby nie być gołosłownym. Na przykład dokładne czytanie listów wskazuje, że jego Nina miała nie jedną skrobankę, ale dwie. Po tej pierwszej wyciął jej zaraz drugi taki sam numer. Albo co robi Witkacy z ukochanym psem, który wpadł pod dorożkę? Bierze na ręce konające zwierzę i jeb! – do potoku. Sam to opisał.

„Nic osobliwszego nad kuriozum” – powiada Tuwim. Czy istnieje tak osobliwe kuriozum literackie, że już je znalazłeś, a jeszcze nie opisałeś? Pytam o znaleźisko, do którego trzeba by stworzyć osobną narzędziownię, by udało się je opisać.

A owszem, są sprawy godne grantu, a nawet powołania katedry.

Na przykład: *Trans-Autentyk*, strony 106–110.

„Poezji wzbronione jest bowiem zastygnięcie w położeniu pośrednim: oto przesłanie, jakie niesie surrealizm” – tak kończy się esej *Wiedza nocna, wiedza mocna*. Czyba Rimbaud był pierwszym surrealistą, prawda?

Pierwszym surrealistą był jako żywo Lukian z Samosat, w całości trochę nudny, jak oni wszyscy. Oprócz Rimbauda. Ale fakt, że surrealizm, który programowo sięgał w wysniony bezkres, swoją krainę wyobraźni ustanowił w strefie pośredniej, gdzie coś jest czymś i zarazem nim nie jest. Gdzie „nad” czerpie z rzeczywistości wzgardzonej, a „realizm” jest imieniem transgresji. Jeśli surrealizm trwa, to dzięki temu, że okazał się świadomością pograniczną. A co graniczne, nie jest nigdy letnie.

Jak się żyje erudycie, eseście i tłumaczowi (w trójcy wybitnemu) w miejscu i czasie, kiedy nie „warto być przyzwoitym”? Czy jest taka granica („za którą się uśmiech pogodny zaczyna”), kiedy wyobraźnia i poczucie humoru już nikogo, kto je ma, nie ratują? Czy jednak wciąż ratują?

Tu właśnie jest okazja do złożenia deklaracji. Mianowicie podają do wiadomości, jeśli to kogoś obchodzi, że po pięćdziesięciu jeden latach współpracy przerywam pisanie do „Nowych Książek”. Przez dwadzieścia dwa lata do dziś, nie opuściwszy ani

jednego miesiąca, prowadziłem tam felieton literacki pod tytułem *Języczek uwagi*. To, co państwo przeczytacie o Rosji i wojnie, będzie moim felietonem ostatnim. Po zmianie kierownictwa redakcji od dłuższego czasu musiałem ignorować nacjonalistyczno-kruhciały sąd niektórych sąsiednich tekstów, lecz oto numer pisma (3/2022) poświęcony został osobie z kloacznych sfer „nowej elity”. Brzydę się wymienić nazwisko. Płynięcie dalej beze mnie.

A więc tak się żyje i wręcz przeciwnie w miejscu, o którym traktowało pytanie.

W tym roku, który właśnie się kończy, mija 200 lat od narodzin Baudelaire’a (9 kwietnia), Norwida (24 września) i Flauberta (12 grudnia) – z którym z nich chciałbyś najbardziej porozmawiać, kiedyś, w literackich zaświatach? I dlaczego?

Ależ rozmówców mi życzysz!
Jeden – ekscentryk i pozer,
drugi – moralizator i głuchy, trzeci stylizujący się na Gargantuę. *Hénaurme! Hénaurrrme!* Ulubione słówko Flauberta. W zaświatach poszukam sobie Diderota. Wygadany, rozsądny, dowcipny, z zacięciem przyrodniczym, trochę świntuch, wielbiciel swojego starego szlafroka. Aktorzy, obrazy, obyczaje tyranów. Inteligent.

Jesteś „miejscownikiem” (Warszawa, Stary Mokotów) – jak sam o sobie piszesz. Podróże wyobraźni tekstowej (by posłużyć się formułą

Włodzimierza Szturca) odbywasz jednak w najdalsze z możliwych, także pozaziemskie czy istniejące wyłącznie (i aż) imaginacyjnie. Czy zadomowienie w jednym mieście/ miejscu i jednoczesna pasja przestrzeni najodleglejszych (w literaturze) współtworzą niekolizyjnie Twoją wyobraźnię pisarską?

Nie Stary Mokotów, tylko Górny. Stary to wymysł urzędasów. A zadomowienie – poniekąd przymusowe, z wiecznego braku pieniędzy. Ha, naruszyłem tabu. O forsie się nie mówi, jak o syfilisie za czasów Zapolskiej: albo ktoś to ma, albo nie, i dobrze. Coś, co się wszystkim wydaje oczywiste: pobyt w Paryżu, Florencji, zresztą gdziekolwiek za granicą, dla mnie jest, a raczej było, sennym marzeniem. Nie udało się, ominęło mnie, trudno. Nie wiem, jak to się robi. Za mojej pamięci ludzie wokół wzbogacili się trzykrotnie: raz po Marcu, raz za Gierka, raz, ale jak, przed ćwierćwieczem. A teraz sporo niektórych porasta w sadło za nowego reżimu. A ja się nigdy nie załapałem na żadną falę wznoszącą, na żaden towarzyski czy polityczny konwejer. Cała reszta jest kompensacją. Stąd ten mój kult wyobraźni. Mogło być gorzej, mogłem jej nie mieć.

Enumeracja jest figurą wanitatywną, figurą utraty, co doskonale unaocznia Twój szkic *Powidoki* (*Duch opowieści*, s. 129–136). Co umieściłbyś we własnym wyliczeniu wanitatywnym – dzisiaj?

Proszę o inne pytanie.

To nie będzie pytanie, lecz podziękowanie od miłośniczki Borgesa, u którego Ty też, i o wiele wcześniej, terminowałeś. Za wszystkie ukryte, dyskretne ziarna Borgesowskie w tym, co piszesz. Ostatnio to bodaj fraza „Historia przypadku to dzieje dwu metafor” ze szkicu *Czego nie robi się kotu*, gdzie od razu przypomina się przepiękny dwutakt z *Kuli Pascala* (z tomu *Poszukiwania*): „Być może historia powszechna jest historią kilku metafor” i „Być może historia powszechna jest historią rozmaitych intonacji kilku metafor”.

Być może literatura powszechna jest historią rozmaitych metafor kilku intonacji.

grudzień 2021 – marzec 2022